TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 38. *Chicago, Ills., 17 Marca, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Po co? na co?

— Zobaczymy...

— A gdybym nie chciał?

— Wezmą cię gwałtem...

Brzeski podumał.

— No, to pojadę — rzekł — lecz jeśli się pan spodziewasz, że może bezbronnego pokrzywdzić potrafisz, mylisz się. Teraz jam ostrożny, nie dam się. Spodziewałem się napaści... mam za sobą takich co mnie podtrzymują... Jechać? jadę! ciężar pan mieć będziesz ze mnie, nie pociechę, a jeśli myślisz, że co wskórasz, mylisz się srodze...

— Jedźże do djabła i idź mi z oczów! — zaryczał Podskarbic w gniewie.

Brzeski się rozśmiał.

— A tak! dobrze! teraz z dobrej woli za jegomością pociągnę. Dobranoc, ja jutro w trop za nim do Warszawy... Chciałeś mnie, no, to będziesz miał.

Drzwiami trzasnąwszy wyszedł.

Jak całe panowanie Stanisława Augusta, tak i jego początki należą do chwil historycznych, najżywszemi barwy życia na kartach dziejów się malujących. Po zgonie Augusta III, między którym a Polską mniej jeszcze było może związku, niż z jego poprzednikiem, młody król, Polak, człowiek, któremu osobistych przymiotów odmówić było niepodobna, piękny, utalentowany, ulubieniec kobiet, sławiony z miłości, nauk i rozumu, w całym narodzie obudzał nadzieję nowej jakiejś ery szczęśliwszej. Miał on nieprzyjaciół, lecz miał i najgorętszych zwolenników. Polska i Warszawa, nieco zaniedbane za Augusta III, opuszczone i obumarłe, poczynały krzepko dźwigać się do nowego życia.

Sama stolica, którą Poniatowski zastał wielce zaniedbaną, z początkiem panowania jego budować się, przeistaczać, upiękniać zaczęła. Dwór króla i otaczające go intrygi ściągały nieustannie coraz nowych przybyszów. Polityczny rozdział kraju, i rozłamanie go na stronnictwa nawet, przyczyniało się do ożywienia Warszawy. Zakładano instytucye nowe, tworzyło się mnóstwo projektów, młodzież napływała zewsząd w nadziei umieszczenia się w zakładach wojskowych, na dworze lub przy możnych panach, których olbrzymie fortuny dozwalały im grać rolę dobroczyńców z łatwością Obyczajem też było wówczas, równie dla przepychu jak dla podtrzymania popularności między szlachtą, otaczać się synami ziemian, którzy całą niemal służbę przy panach pełnili i na pańskiej klamce nadzieje przyszłe budowali. Z małemi wyjątkami wszystka młodzież przechodzić musiała nowicyat ten przy dworach, przez który się w ówczesny świat wchodziło. U Ostrogskich marszałkiem dworu bywał nieraz ubogi książę lub drążkowy kasztelan; trafiało się nieraz, iż przyszły dygnitarz koronny, rękodajnym dworzaninem poczynał. Nie wstydziła się szlachta służyć u panów braci, a magnat oprócz cudzoziemców, którym plebejuszami być dozwolono, nie trzymał przy sobie nikogo bezklejnotnego, chyba stróżów do palenia w piecu i pomywania w kuchni...

Dwór też królewski cały, można powiedzieć z młodzieży szlacheckiej się składał a najzdolniejszych nazywano paziami, z których przyszli szambelanowie rośli. Miano wzgląd w wyborze na wszelkie przymioty, a nawet i na powierzchowność młodzieńców, którzy szykownie i zręcznie wyglądać musieli i prezentować się tak, by wysłani z biletem N. P. do pani Krakowskiej lub Zamojskiej, do Tyszkiewiczowej lub jednej z dam, która chwilowo panowała sercu najjaśniejszego, umieli się znaleźć, odpowiedzieć, pokazać przyzwoicie, nie zbyt śmiało ani nadto bojaźliwie. Paziowie króla Stanisława, którzy sławili się dowcipem, i nieraz za krzeseł pozywani byli do odpowiedzi w czasie wesołych czwartkowych obiadów, nie wszyscy mogli się wywieść z dwunastu herbów po ojcu i matce, ale musieli mieć za to wiele sprytu i zdolności; nie ostałby się tu pokornego ducha chłoptaszek, któryby zagadnięty mógł języka w gębie zapomnieć. Szkoła ta dworska nie koniecznie była najlepszą, ale dawała ogładę i zawcześne smutne doświadczenie świata. Każdego dnia kilku z paziów J. Królewskiej Mości było na pokojach na służbie czynnej, inni się też nie oddalali od zamku... chyba za szczególnem pozwoleniem.

Podskarbic, który przybył do Warszawy szczególniej w tym celu, aby trochę zaniedbane stosunki odświeżyć, królowi się przypomnieć i dawnych towarzyszów broni, a dziś pedagrą utrapionych inwalidów nawiedzieć, zaledwie stanął, ekwipaż miejski najął i na publiczną audyencyę do zamku pojechał. Tam mu było najłatwiej dowiedzieć się o znajomych, powziąć języka i termometrowi dworskiemu się zblizka przypatrzeć. Nie omyliły go nadzieje... na schodach bowiem zaraz schwycił go w ramiona jeden z tych, co z nim najdłużej za granicą hulali. Spojrzeli na siebie po długich niewidzenia latach, zmierzyli się oczyma i stanęli smutnie zdziwieni.

— Tyżeś to kwiecie młodzieży? — zawołał otyły kasztelan, którego peruka zakrywała łysinę, ale rubinowego nosa barwę podnosiła zarazem do zbytku — tyżeś to ulubieńcze niewiast.... uwodzicielu... motylu? gdzie twe skrzydła?

— Mógłbym cię podobnie zaapostrofować — odparł Podskarbic, — ale ci się wypłacę wspaniałomyślnie, zaręczając, że gdybyś nie napęczniał, nicbyś się nie odmienił, i humor i głos pozostał!

Uścisnęli się czule i syknęli. Kasztelanowi strzykało w nodze; Podskarbic, gdyby nie laska, na swoich ustaćby dłużej nie mógł.

— Cóż ty tu porabiasz? spytał kasztelan.

— Przybyłem dowieść prezencyą moją, żem nie umarł.

— Gdzieżeś ty się zakopał? Przyznaję ci się, żem doprawdy posądził cię o zupełne ustatkowanie..

— A! licha tam! — rzekł Podskarbic — wiesz przysłowie o skorupie...

— Nie tylko je wiem, ale go na sobie doświadczam. Idziesz się królowi zaprezentować?

— Tak jest...

— A! uśmiechnie ci się, obsypie grzecznościami... lecz cóż kiedy to... Feaux benite de la cour! Jeśli masz intetesa... gdzieindziej pukać potrzeba...

Szli powoli po schodach, a tymczasem mijali ich witając inni przybywający z kolei, którym Podskarbic przypominać się musiał. Wiele dlań było twarzy nowych, niektórych widział chłopakami niedorosłymi, innych znał rodziców... wszystko mu smutnie wiek jego przypominało. O większą część figur kasztelana pytać musiał...

— Niestety, braciszku — rzekł w końcu — kiedy ja o innych pytać muszę, nasuwa się wątpliwość, czy i o mnie też wielu nie spyta.. Jestem w świecie żywych jak umarły, który z grobu powraca...

Westchnął; wchodzili na próg właśnie; niedaleko od progu stał w wykwintnej barwie królewskiego dworu, wystrojony blondynek, postawa nader zręczna, uśmieszek na różowych ustach, oczy wielkie niebieskie, czoło szerokie białe, twarz rysów szlachetnych i szlacheckich. Nawet ciemny rodzinny znak pod uchem nie szpecił go wcale, oczekując, ażeby podstarzał, bo w późniejszem wieku brodawki, pieprzyki i znamionka nie miane za młodu, mszczą się za to, że je młodość rumieńcem zabiła...

Od chwili, gdy go Podskarbic spostrzegł, już oczów oderwać od niego nie mógł. Zmięszał się nadzwyczaj, pobladł, sparł na lasce i zmienionym wielce głosem, targnąwszy za suknie kasztelana... począł natrętnie pytać.

— Któż to jest ten chłopiec? kto ten chłopiec? na miłość Boga? kto to taki?

— Ale to paź królewski... Czemże cię tak uderza?..

— Jak on się zowie? jak się zowie? — domagał się natarczywie Podskarbic.

— Pan Jan, albo jak go tu zwać zwykli. Janek Leliwa..

— Leliwa! Leliwa! jakto Leliwa?.. I zamyślił się posępnie.

— Co ci jest? dla czego ci on tak wpadł w oko!

Podskarbic odciągnął na stronę przyjaciela.

— To osobliwsze, to okropne podobieństwo... — zawołał.

— Do kogo?

— Do pierwszego męża wojewodzinej, teraźniejszej żony mojej; zdaje mi się, że upiorem wstał z grobu. Wiesz przecie, że herbem jego była także Leliwa.

— A no! więc cóż dziwnego, że w chłopcu, co do herbu należeć musi, znalazły się rysy rodowe.... — odparł kasztelan spokojnie... — a zresztą .. hm! kto tam o tajemnice kolebek i kotar pokusić się może...

— Ale zkądże on jest? co za jeden?

— Doprawdy nic nie wiem...

W tej chwili zaczęli się goście przybyli ustawiać w szeregi... Marszałek bowiem wyszedł poprzedzając króla, a w krótce potem ukazał się Stanisław August w mundurze kawaleryi narodowej, nader wykwintnie ufryzowany, piękne swe białe ręce w koronkowych mankietach wyciągnąwszy z niejaką pretensyą, z twarzą uśmiechniętą, choć na czole czuć było raczej niż znać ledwie rozwianą chmurę. Podszedł naprzód do ambasadora, z którym się przywitał nader serdecznie i poufale... potem do grupy, która rodzaj dworu przy nim stanowiła, naostatek zwolna począł obchodzić zgromadzonych obywateli; parę razy bystry wzrok królewski padł na Podskarbica i szybko się od niego odwrócił i równie ciekawie znowu ku niemu skierował.. Zdawało się, jakby z trudnością mógł tę twarz zestarzałą i zwiędłą przypomnieć, nierychło też przyszła kolej przedstawienia się, gdyż Stanisław August zdawał się umyślnie krążyć, unikając Podskarbica i zostawując go ku końcowi. Nie było to z pewnością oznaką łaski... Lecz król był tak systematycznie grzecznym dla wszystkich, iż nawet najzawziętszemu nieprzyjacielowi swemu nigdy nie uchylił. Nie było się więc o co obawiać... Podskarbic czekał... Stanisław jakby zakłopotany zbliżył się do niego, ceremonialny układając uśmiech.

— N. Panie — odezwał się Podskarbic z

nizkim ukłonem, — muszę się WKMości jakby nowo przedstawiający, chociaż dawny czciciel jego i najwierniejszy poddany, po imieniu i nazwisku przypomnieć, bo nie mogę sobie pochlebiać, abyś WKMość tę twarz zmienioną raczył jeszcze pamiętać.

— Mylisz się panie Podskarbicu — odrzekł król sucho — imię i twarz jego są mi bardzo dobrze pamiętne, szczególniej dla zasług w ojczyźnie czcigodnego rodzica jego.

— Cieszę się, iż choć w ten sposób mam szczęście — począł Podskarbic... ale król mu przerwał:

— Gdzie waćpan przebywasz, żeśmy go od tak dawna widzieć nie mieli przyjemności?

— Na wsi lub w Krakowie — odparł kłaniając się zapytany.

— A czcigodna małżonka, wszakże żyje? jak się miewa?

— Nie zbyt szczęśliwem cieszy się zdrowiem — rzekł Podskarbic... i z domu się prawie nie rusza...

— Co za nieszczęście! osoba tak znakomitych przymiotów duszy, którąbyśmy radzi zawsze widzieli tu, gdzie jej cnoty i wpływ pożądanemi byłyby.

Podskarbic się kłaniał...

— A rodzina? — spytał król bacznie wpatrując się w Podskarbica.

— Pan Bóg nas nią nie obdarzył.. — szepnął spytany.

— Jak to? wszakże po ś. p. wojewodzie, jeźli się nie mylę, syn był pozostał...

— Ten... ten... — bąknął Podskarbic niewyraźnie, — zmarł wkrótce po ożenieniu mojem...

— Proszę! co za nieszczęście! zmarł! nie słyszałem o tem wcale — dodał król — strata wielka i nieodżałowana, bo to rodzina była krajowi zasłużona, starożytna i znakomita.

To mówiąc Stanisław August cofnął się parę kroków i nader zimnem kiwnięciem głowy Podskarbica pożegnał...

Kasztalen czekał na niego... usunęli się więc w głąb sali, i byłby go uprowadził zaraz, mając zamiar zabrać z sobą, gdyby Podskarbic, który wciąż śledził okiem chłopaka w paziowskim stroju.... nie szepnął kasztelanowi:

— Proszę cię, zrób mi tę łaskę.... Leliwa ów mocno mnie intryguje, przyznam ci się... pomóż mi zapytać go o rodzinę i pochodzenie; znasz go pewnie.

— Bardzo dobrze — szepnął kasztelan, i zbliżyli się ku paziowi, który na nich obu z minką dosyć lekceważącą poglądał.

— Przepraszam cię, panie Janie — odezwał się kasztelan, zatrzymując się około niego — będzie to zapewne niedyskrecyą z naszej strony.... pan Podskarbic, który jest skolligacony z rodziną Leliwów, radby wiedzieć, z jakich i których Leliwów pochodzicie? Wszak ci to nazwisko razem familii waszej i herbu być musi.

Chłopiec się mocno zarumienił, oczy mu błysły, wargi zadrżały, popatrzył długo na Podskarbica i na kasztelana, zdawał się namyślać i odezwał z udaną obojętnością.

— Powinienbym za ten wzgląd podziękować, ale dobrze i dokładnie odpowiedzieć nie potrafię. Jestem sierotą, opiekun się mną zajmował, a zawcześnie mi było rozpytywać o pochodzenie i szlachectwo moje; tyle tylko wiem, iż zapewne do imienia które noszę, prawo mieć muszę...

— Ale nie bierzże znowu tak siarczyście zaraz niewinnego zapytania — odparł kasztelan — nikt wątpliwości nie ma o pochodzeniu. Jest to prosta ciekawość.

— Której ja niestety! — dodał chłopiec żwawo, — zaspokoić nie potrafię.. Jestem sierotą.... o familii wiem mało, może mnie zawcześnie odumarli.

— Któż się jego losem zajmował? — zapytał Podskarbic mocno się w niego wpatrując.

— Dalecy krewni — westchnął p. Jan Leliwa, skłonił się i prędko odszedł w głąb ku królewskim pokojom.

Podskarbic stał osłupiały.

— Jednakże to jest — rzekł cicho prawie niedosłyszanym głosem — to niepojęte, to osobliwsze.... to przerażające podobieństwo.... Zapomniałem go o wiek zapytać, lecz widzi mi się, że nie ma lat dwudziestu.... tak...

Tu przerwał, głowę spuścił i zadumał się, jakby coś po cichu obliczał. Kasztelan go trącił w ramię.

— Na starość stałeś się jakimś tetrykiem zabobonnym... Chodź, mamy dziś ostrygi i do nich winko, powiadam ci, nektarek.... Niech

tam wszystkich Leliwów.... Bóg ma w swej opiece; losy ich moich ostryg nie warte.

I pociągnął go za sobą.

Po scenie w karczmie na gościńcu i rozstaniu z Brzeskim, który szydersko ofiarował się na przekór już jechać za Podskarbicem do Warszawy, nie spodziewał się on wcale, aby mu się dawny plenipotent istotnie tu miał stawić; zdziwiony więc był nie pomału, gdy sługa nazajutrz Brzeskiego oznajmił.

— Czegoż jeszcze ten stary łajdak chce? chyba żebym mu skórę wygarbować kazał! — zawołał Podskarbic. — Puszczaj go; ciekawym....

W progu ukazał się powołany.... Dawny pan podniósł nań oczy gniewne.

— Czegożeś tu jeszcze?

— A kazałeś mi pan jechać za sobą, więc jestem. Mógłbyś pan sądzić, że się go lękam, a ludzie myśleć, że go istotnie okradłem ... Tandem mnie pan masz... Jesteśmy dziś oba równymi obywatelami rzeczypospolitej, jest sąd, są trybunały, masz co pan do mnie, to się rozprawmy...

— Zgago ty jakaś stara, przebrzydła! — mruknął Podskarbic — powiadam ci, nie próbuj mojej cierpliwości.

Brzeski ręce założył na piersi i stał.

— Czego chcesz?

— Ja pytam, dla czegoś mi tu jechać kazał?

Podskarbic rzucał się w krześle.

— Powiesz mi czy nie, coś z nim zrobił?

— Z kim?

— Z chłopcem...

— Nicem z nim zrobić nie mógł, bo o nim nie wiem.

— To ja ci powiem, że ja o nim wiem! ja wiem! — krzyknął pięścią uderzając w fotel Podskarbic — ha? rozumiesz?

— Jeszcze nie — odparł spokojnie Brzeski.

— Tak jest, sam los mi go wskazał; pytałem cię tylko dla wypróbowania, natura go napiętnowała, skryć mu się trudno, chociażeście go dobrze pod pańskie skrzydełko przytulili, ale i tam go może ludzie znaleźć potrafią.

Brzeski ani na chwilę nie okazał zdumienia, nie odpowiedział nawet na groźbę, ruszył ramionami.

— Więc gdy już uwolniony jestem i niepotrzebny — odezwał się, — stopy pańskie całuję.... do nóg upadam.

Spojrzeli sobie wzajem w oczy... Podskarbic zwrócił się tyłem.

— Bóg wielki! — mruknął Brzeski i wyszedł.

Paziowie J. K. Mości wszyscy mieszkali w zamku, zajmowali oni w głębi dziedzińca pokoiki na wyższych piętrach, których schody młodym nogom nie były straszne. Z wesołych tych stancyjek piękny widok rozciągał się na szeroką Wisłę i ogród zamkowy.

Poddani dozorowi marszałka dworu, ciągle zresztą będąc na oku króla, często bardzo używani przez niego i wysyłani, nie mieli wiele czasu do własnego rozporządzenia; lecz kto chciał z nich czemś ważniejszem się zająć, znalazł godziny ranne i wieczorne, o których rachunek nikt nie pytał. Większa część młodzieży obracała je zwykle na ukradkowe wycieczki do miasta, w towarzystwie przyjaciół z korpusu kadetów i szlacheckiej młodzieży; ale byli i tacy, co woleli dla przyszłości pracować. Wprawdzie paziowe, gdy się już ich nazwisko niegodziło z wiekiem, otrzymywali zwykle jakiś urząd, synekurę, kawałek chleba b e n e m e r e n t i u m, ale nie każdy chciał na to rachować....

Do najzdolniejszych na dworze, najpowszechniej lubionych, a nadewszystko obudzających szacunek, na który młodzi, nie mają zwykle czasu i sposobności zasłużyć, należał ów Janek Leliwa, który jakimś sposobem tajemniczym został przyjęty. Nikt w istocie wytłumaczyć nie umiał, jak z mnogich i silnie popieranych kandydatów do tej funkcyi, zupełnie nieznany chłopczyna, mimo współzawodnictwa miejsce to potrafił otrzymać. Nie wiedziano, kto go tak skutecznie polecił, ale godzili się na to wszyscy, iż chłopak zasługiwał na wyróżnienie i szczególne względy. Usiłowano w nim odkryć coś, czemby przybłędę pobito, ale nie znaleziono. Jednym zarzutem, pod owe czasy pewną mającym wagę, było, iż się ze świetną rodziną, a nawet z żadną wykazać nie mógł. Za ubogim był, tego mu nie zarzucano, bo i głuchoniemy

Wilczewski i Turkułł i Płotnicki i wielu innych, równali się świętym tureckim.... Towarzysze sarkali nań za benedyktyńską pilność i grzebanie się w książkach, ale król właśnie za to go lubił. Ks. Naruszewicz pod brodę głaskał. Trębecki mawiał mu czasem żartobliwie: Tu Mercellus eris! Pokładano nadzieję w nim, iż na znakomitego literata urośnie, a co w literatach rzecz jest nadzwyczaj rzadka, zwłaszcza młodych, pan Jan Leliwa skromny był i ani z nauką, ani z talentem, ani z przedwczesnemi muzy płodami wcale się nie popisywał. Albertrandi powiadał o nim, że lepiej zna bibliotekę królewską od niego, i zaręczał, że zamiast się rozkoszować dziewicą Orleańską Woltera i podobnemi wyrobami dowcipu, gruntownej nauki w starych łacińskich foliantach szukał.

Drwił wprawdzie z niego dowcipny Turkułł, iż pewnie do sukni duchownej i infuły tą drogą kroczy, ale Janek na to ramionami ruszając uśmiechał się, a drwiny tak znosił, iż nie było pociechy z niego sobie żartować, bo się nie gniewał. A gdy mu bardzo dopieczono i zmuszonym był się odciąć, ciął tak, że na długo blizna została.. delikatnie jak brzytwą, a głęboko do kości....

A pomimo uczoności swej, przedwczesny ten erudyt ze złocistemi włosami i niebieskiemi oczyma, poważny, skromny jak panienka, bojaźliwy jak dziecko, miłym był, serdecznym, usłużnym, i panie nazwawszy go Cherubinkiem, przepadały za nim, z czego on wcale nie korzystał. A że nie łatwo go było do towarzystwa zwabić i zatrzymać, więcej się jeszcze oń ubiegano... Król, gdy miał jeden z tych listów, które sam tak pięknie umiał i lubił układać, wysłać do ambasadora lub do którego z dygnitarzy, nikogo nie użył tylko Leliwy. Był najpewniejwszym, że go nic po drodze skusić, zabałamucić nie potrafi... Do tych łask i szczególnych względów musiał chłopak dojść powoli, z początku bowiem nikt go nie znał, nie miał nikogo, coby go przypominał i zalecał; dorabiał się uznania i wysługiwał, by je pozyskać.

Izdebka, którą Janek zajmował w zamku, była może najmniej pokaźną, najniewygodniejszą, i dostała mu się dla tego, że wszyscy nią pogardzili; potrafił z niej jednak uczynić z małemi środkami najmilsze mieszkanko. Położona blizko poddaszów, zdala od wrzawy uczęszczanych korytarzy, miała dwa okna na Wisłę i wesołe od nich światło. Przytykał do niej gabinecik, rodzaj sypialni ciemnej, w której kryło się wszystko, co do gospodarstwa należało... W izdebce była kanapka, stół przed nią, drugi do pracy cały założony książkami, na oknie kilka wazoników zielonych... Zresztą ubierały ją naukowe sprzęty, globusy, mapy, matematyczne narzędzia i przybór do rysunków, któremi się Janek także zajmował. Wszystko to ustawione w najlepszym porządku z pewnym nawet wdziękiem, budziło zazdrość towarzyszów, u których większa przestrzeń cała była zawsze zagracona i w nieładzie.

— Ten Janek musiał chyba kiedyś służyć za chłopca w jakim dworze — mawiał Turkułł — tak sobie umie teraz być razem lokajem i panem..

Uderzało to zarówno towarzyszów jak starszyznę, iż nigdzie, ani sylwetki, ani portretu, ani żadnej pamiątki familijnej u Leliwy nie było. Przy łóżku tylko w głowach stało piękne pudełko zamykane na klucz, z którego raz na wielkie naleganie połączone z żarcikami odpowiadając, chłopak dobył przepyszny łańcuch złoty z relikwiarzem, i pokazawszy go, usta żartownisiom zamknął.

Chociaż największa tajemnica otaczała przeszłość Leliwy, który nierad był się z niej spowiadać, ów łańcuch dawał do zrozumienia, iż z bogatej mógł rodziny pochodzić. Był to zapewne, domyślali się towarzysze, ostatni szczątek dawnej zamożności, gdyż na teraz Leliwa wydawał się ubogim, i gdy innym nadchodziły z domu pieniądze, on nigdy ani listów, ani żadnego nie odbierał zasiłku. Nikt też nie przybywał do niego z rodziny, czasem tylko stary kulawy jegomość, w którym domyślano się sługi domu, zachodził na chwilę, i po cichej, krótkiej rozmowie prędko się wynosił. Tu jak na wsi, przezwano go poufale kuternogą. Wszystkie te szczegóły o Janku spisujemy tu dla tego, iż one nadzwyczajną obudzały ciekawość w mieście, i chciwie je chwytano, interesując się urodziwym i miłym chłopakiem.... Wabiono go do wielu domów.... ale widocznie unikał ich i w jednym tylko czasem na chwilę się zjawiał....

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

(Ciąg dalszy.)

Przestraszony Robinson nie wiedząc co to znaczy i co ma z sobą robić, wyskoczył z swej jaskini, aby dociec przyczyny tego nadzwyczajnego zjawiska. — W tej chwili nastąpiło kilka tak gwałtownych uderzeń z zagłuszającym łoskotem, że cała ziemia zachwiała się — wicher powstał tak wielki, że drzewa z korzeniem wyrywał i unosił w powietrze, wirując rwał trawę, kamienie oderwane od skał staczały się, grożąc co chwila śmiercią, a wzburzone morze było do głębi znurtowane. — Z żalem widział Robinson walący się swój dom, który z takim trudem zbudował. Unikając zewsząd grożącej śmierci, postanowił dostać się gdzie na najwyższą górę — ale zaledwie zrobił kilka kroków w celu dopełnienia tego zamiaru — widok nowy — zaparł mu oddech — stanął przerażony jak wryty. Z góry otworem inaczej kraterem zwanym, wybuchał gęsty dym z ogniem, popiół, rozpalone kamienie i t. p. stopione lub spalone przedmioty co się razem wziąwszy lawą zowie, która spływając z przeraźliwym rykiem z góry — wszystko po drodze w popiół obracała, tonąc z ogromnym hukiem w morzu.— W powietrzu czuć się dawał nieznośny zapach siarki — trudno było oddychać, przytem gorąco z wybuchającego wulkanu zdawało się, że na węgiel spali. — Na raz wirującym wichrem zebrane chmury z całą obfitością rozlały wszystek zapas deszczu tak, że ten stanowił jakby jeden słup wody, łączący niebo z ziemią — za chwilę wszystko w wodzie dokoła jakby jedno jezioro. Robinson bez pamięci — kierując się instynktem wdrapał się na wierzchołek drzewa — tam nieco odetchnął, ale dla tego, aby silniej uczuć nowe nieszczęście. Jego najukochańsze lamy — porwane prądem, unosiły się nad wodą — patrzał za niemi, już chciał wskoczyć w wodę, aby je wyratować — ale poznał bezskuteczność tego czynu. Z wyciągniętemi rękami z głosem rozpaczy, sam nie wiedząc co czynił — wołał je do siebie, ale na próżno — woda niosła biedne zwierzęta — już ich nie widać.

Trzęsienie ziemi trwało jeszcze kilkanaście minut, później nastąpiła do koła cisza. Wiatr ucichł — niebo wypogodziło się i woda w przeciągu pół godziny opadła.

Kiedy Robinson zlazł z drzewa, na które się schronił, tak był skołatany tym nowem nieszczęściem, że nawet nie przyszło mu na myśl podziękować Bogu za wyratowanie go od nowo grożącej śmierci. Zbity tem tak obcem dla niego strasznem zjawiskiem natury i ogólnem spustoszeniem, z dziwną czczością w sercu — z przestrachem i tęsknotą wlazł powtórnie na drzewo, aby tam doczekać się rana. W nocy nie mógł zmrużyć oka, ciągle przed oczyma przesuwał się straszny ten widok — cały drżący, w gorączce z rozpaczą powtarzał: Co się zemną teraz stanie? Ale powiadamy: Nie ma tego złego żeby na dobre nie wyszło.

Tylko światło dnia poczęło przemagać nad ciemnością nocy — poszedł smutny z schyloną głową, wolnym krokiem do swego mieszkania, aby zobaczyć go w gruzach leżącego — ale jaka była jego radość, kiedy w domu zobaczył lamy, które ujrzawszy go z radosnem beczeniem, skacząc i liżąc ręce poczęły go witać; i Robinson przyszedł do przekonania, że musiały tylko sztuką pływania właściwą zwierzętom wyjść z tego niebezpieczeństwa. Radością rozpromie-

nione oblicze wzniósł do nieba wołając: Boże, Ty nikogo w nieszczęściu nie opuścisz.

Mieszkanie, które jak sobie wyobrażał już było zniszczone ze szczętem, nad jego spodziewanie wprawdzie przez trzęsienie ziemi w górze i po bokach nieco uszkodzone przez wypadnięcie miejscami skał, ale przy niewielkiej pracy, do której zaraz zabrał się, oczyszczone z gruzu, wygładzone wewnątrz, jeszcze było wygodniejsze i obszerniejsze jak przedtem. Z góry przestało się już dymić i ogień buchający został już zgaszony.

Podług rachuby Robinsona nadchodził czas zimy, zabezpieczając się przeto z góry od natarczywości tejże, w celu nagromadzenia zapasów zimowych, zabił ośm lam, i mięso powiesił w swojej kuchni, aby się uwędziło. Musiał także pomyśleć i o sianie na zimę dla swych lam i o drzewie do palenia. — Ale zimy nie było widać, chociaż to już było przy końcu października. — Zaczęły tylko częste deszcze padać i powietrze było tak mgliste, jakby wodą przesiąknięte.

W tym kraju zimy można powiedzieć nie ma. Przez parę miesięcy w których jest u nas mróz, tam tylko ciągle deszcze i mgły padają; temperatura jednak ciepła nie zmienia się — a przynajmniej o tyle tylko, o ile ją oziębi brak dopełniającego słońca. Po tych deszczach i mglistem powietrzu następuje lato czyli czas suszy, który trwa przez dziesięć miesięcy.

Przez cały przeciąg czasu trwania deszczów, Robinson nigdzie nie mógł na krok wyjść z swego pomieszkania, pominąwszy bowiem powietrze, którem trudno było oddychać, ziemia tak rozmokła, że można było w niej uwięznąć. Długo też wlokły się dnie Robinsonowi, całem jego zajęciem było wyjść do stajni lub piwnicy po żywność dla siebie i lam i przynieść wody.

Przypomniał sobie, jak nie raz namawiano go do nauki, jak nie chciał słuchać, książkę w kąt rzucał a sam myślał o płataniu figli. — Ileżby dał teraz, aby mógł dostać jakąbądź książkę — z jaką chciwością pragnął czegokolwiek się nauczyć — pomimo to, że tegoby nikt nie widział — przed nikiem nie mógłby się popisać. On teraz dopiero uczuł jak mało umie i że dla samego siebie — dla własnego zadowolenia trzeba coś umieć. — Przyszło mu wreszcie na myśl zrobienie sieci na ryby, — których takie mnóstwo znajdowało się w morzu, mając przeto czas i cierpliwość z potrzeby — zaraz wziął się do roboty, i w krótkim czasie sieć była gotowa. — Potrzeba mu było jeszcze narzędzia, któremby mógł dostawać zwierzęta w powietrzu fruwające lub takie, które nie dadzą się na blizką odległość zbliżeć do siebie. Wiedział że na to są fuzye, ale to było niepodobne. — Zbawienna myśl przyszła mu do głowy, przypomniał sobie — że w dzieciństwie jeszcze bawił się łukiem. Wziął się więc zaraz do zrobienia. W dokonaniu tego zamiaru, ułamał średniej grubości zwięzłą gętą gałąź z bambusowego drzewa. Ale dalej robota jakoś szła niesporo — brak noża dał mu się dotkliwie uczuć, musiał dobierać ostre kamienie i niemi krajać — przez osiem jednak dni trwało to mozolne zajęcie. — Skończył wreszcie jedno — znów potrzeba strony, widząc jednak niepodobieństwo dostania, w miejsce jej — użył o ile możności najsilniej skręconego sznurka. — O strzały było łatwiej, — gdyż miał podostatkiem ości z ryb, które wbite w jeden koniec przygotowanego drzewa — ostrzejsze i twardsze były od gwoździa stalowego a dla lepszego impetu przymocował w drugim końcu pióra.

Aby uzbroić się kompletnie — uciął z twardego drzewa długi mocny kij, zaciął ostro na końcu i ten w danym razie zastępował mu lancę.

Po skończeniu tego wszystkiego zaraz odbył próbę i z radością nie do opisania przekonał się, że swym łukiem nietylko ptaki może strzelać, ale nawet lamy silnie trafione padają, a więc napadnięty przez dzikich ludzi lub zwierzęta, mógł się nim obronić. — To mu dodało odwagi, myśl bowiem o napadnięciu lada chwili dzikich, tkwiła mu ciągle w głowie i wprawiała w niepokój.

VIII.

I znów powiedzieć wypada — Robinson wszystko miał co potrzeba. Miał mięso i sól, ryby, żółwie i z nich skorupy, ostrygi a zatem talerze, mleko z lam do pożywienia, miał lamy, siekierę z kamienia i łuk do obrony i zabijania zwierzyny — dobre mieszkanie, i żył w tak pięknym kraju, gdzie nigdy nie było zimy. A ednak dałby połowę swego życia, aby zjawił

się jaki okręt — na którym mógłby się dostać do swej ojczyzny.

Poznał dowodnie — że największego szczęścia jakie tylko na świecie istnieje będąc samotnym, bez udziału z kimkolwiek drugim, nigdy ocenić nie można. — Gdy przeciwnie w towarzystwie przyjaciół, których się kocha i jest się od nich kochanym, nie jedna dolegliwość nawet się czuć nie daje. Oddalony od najukochańszych rodziców, oddalony od swych przyjaciół, krewnych, których może już w życiu nigdy nie ujrzy — oddalony od wszystkich ludzi na ziemi, wszędzie gdzie się obrócił czuł ich brak.

Często trapiony podobnemi myślami rzewne łzy wylewał, złorzecząc chwili — w której stał się nieposłusznym rodzicom, a jedyną pociechą były wierne lamy — które czując smutek swego pana, żałosnie beczały, kładąc się u nóg, jakby chciały powiedzieć — „my cię nigdy nie opuścimy."

Przyszło wreszcie Robinsonowi myśleć o zaspokojeniu nowej potrzeby. Ubranie, które miał na sobie zupełnie w szmaty się podarło — tak, że można powiedzieć prawie wcale nie był okryty.

W prawdzie nadeszło lato, z niem słońce, przestały deszcze padać — do koła zazieleniło się, owoce znów na drzewach — rozweseliła się natura, ale natomiast pojawiły się muchy jadowite nieznośnie gryżące, tak jak pszczoła albo osa, i od tych niemiłych gości żadnym sposobem nie mógł się obronić, prawie cały był już spuchnięty, gdyż miejsce ukąszone prócz nieznośnego bólu nabrzmiewało. A biednemu Robinsonowi na domiar tego złego i obuwie wypowiedziało posłuszeństwo, chodząc przeto boso po ostrych kamieniach, kaleczył nogi a co chwila można było spodziewać się ukąszenia jakiego jadowitego węża lub żmii, które o śmierć przyprawia.

Nie było więc innej rady jak zapobiedz o ile możności wszystkim złem następstwom i wymyśleć jaką odzież. Wziął skórę z zabitej lamy, i rozumie się nie nożyczkami tylko ostym kamieniem, pokrajał ją przedewszystkiem na trzewiki, a ponieważ nie mógł szyć, bo nie miał czasu, porobił przeto ością rybią dziury i sznurkiem pościągał na nodze, w ten sam sposób przyprawił cholewy, dalej surdut i czapkę a następnie z tejże skóry zrobił maskę na twarz, wykroiwszy dziury na oczy, nos i usta do oddychania. Stare zaś suknie a raczej szczątki pozostałe schował na pamiątkę.

Świeżo wystrojony Robinson, wyglądał jak jakie zwierzę zamorskie, — cały w kudłatej skórze — w czapce szpiczastej na kształt koszyka, przepasany sznurem — za który zatknięta siekierka kamienna, wyglądał jak przedpotopowy okaz, torba przewieszona także komicznej budowy — na plecach dźwiga mnóstwo z worka skórzannego sterczących strzał, na ramieniu wisi łuk, w końcu jedna ręka w lancę a druga w parasol uzbrojona, stanowi komplet. On sam przejrzawszy się w wodzie — parschnął głośnym śmiechem, uznał że ludziom mógłby się za pieniądze pokazywać, a zwierzęta uznają go za swego.

Pewnego dnia wróciwszy z wycieczki po wyspie, był czegoś wesół jak nigdy — bawił się ze swemi lamami, to gonił je, to uciekał — i tak swawoląc — przypominał sobie dawne czasy — zamyślił się i nagle posmutniał. Głowa zaczęła ciężyć jak ołów — dreszcze zaczęły go przechodzić i w całem ciele uczuł jakby łamanie.

Poznał, że to początek choroby. — Boże! pomyślał — co się ze mną teraz stanie. Gdy ja z mego posłania nie będę mógł powstać? nie mam nikogo, ktoby mi wody podał — ktoby mi spieczone usta zwilżył — nie ma nikogo ktoby mi oczy zamknął — umrę a nikt nie zmówi za mnie nawet wieczne odpoczywanie — a umrę jak nędzarz ostatni bez pociechy — bez przyjaciół, bez uściśnienia ręki życzliwej — nikt po mnie nie westchnie, nie zapłacze — o gdybym mógł choć na chwilę zobaczyć moich drogich rodziców, choć raz ucałować tę kochaną rękę, która mnie pielęgnowała, przeprosić za moje winy im wyrządzone — za zmartwienie, którego byłem powodem — uzyskać ich przebaczenie — Boże! prawda żem zawinił, ale nie karz mię tak surowo! — Ale choroba wzmagała się — ból głowy, gorączka nadzwyczajna i osłabienie niezupełnie odebrało mu zmysły, prawie leżał jak nieżywy — oczy i usta otwarte, cały siny — oddech ciężki, a od zimna przenikliwego cały drżał; — z wielkim trudem zdołał się okryć skórami, ale to nic nie pomagało — jakieś straszne mary potworne przechodziły, które szydziły i naśmiewały się z niego. Tak bez pamięci leżał dwie godziny — potem

uczuł w sobie gorąco, które zdawało się, że go wewnątrz spali — usta spiekłe — radby choć kropelką zwilżyć, ale osłabienie nawet ruszyć się nie dozwalało. Po godzinnej męce pot kroplisty wystąpił na całem ciele i to przywróciło mu nieco zmysły — zaczął przychodzić do siebie, z obawy, aby mu ogień nie zgasł i zabezpieczając się nadal, w razie gdyby atak febry powtórzył się — powlókł się na rękach do swego pieca — i wytężając wszystkie siły, nałożył drew na ogień, aby przynajmniej do jutra paliły się. — Ta noc była najsmutniejszą z jakich tylko miał w życiu — dreszcze na wskroś przenikające i gorączka z maligną połączona, męczyły go na przemiany bez ustanku — nadzwyczajny ból głowy nie pozwolił ani na chwilkę zasnąć — lada chwila oczekiwał śmierci — i w chwilach, w których uzyskał przytomność i czuł się nieco być zdrowszym, zanosił do Boga cichą, rzewną i szczerą modlitwę. Nad ranem choroba wzmogła się z całą gwałtownością z poddaniem się na wolę Bozką, wyglądał godziny, w której ducha wyzionie — a która zbliżała się szybkim krokiem. Członki skórczyły się, i zaczął piersiami robić, nie mogąc zachwycić powietrza — chciał przeżegnać się, ale daremnie, westchnął do Boga — „żegnam was kochani rodzice, krewni, przyjaciele, przebaczcie mi... ...." — to wymówił cichem głosem i więcej nie mógł powiedzieć, głos zaparł się w piersiach — tylko łza jeszcze potoczyła się z twarzy — odrętwienie wniknęło w całe ciało — głowa opadła bezwładnie.

IX.

Dobre pół godziny leżał tak Robinson bez duszy. Nagle zaczął zwolna przychodzić do siebie. Ciężko odetchnął — otworzył oczy, spojrzał do koła, jakby chciał się przekonać, gdzie się znajduje. Uczuł że niebezpieczeństwo minęło — pozostała tylko maligna i poty po całem ciele. Za chwilę twardo zasnął i spał od wschodu aż do zachodu słońca. Sen pokrzepił zwątlone siły, jakby inny duch wstąpił w niego, choroba przesiliła się a z niej pozostała tylko maligna i brak apetytu. Radość orzeźwiła go, gdy spostrzegł swoje lamy wesoło witające go po całodziennym niewidzeniu, — całe to grono nie posiadało się z radości, w w jednej chwili Robinson zapomniał o wszystkiem złem, którego co dopiero doznał. — Nacieszywszy się z lamami dowoli, znów twardo zasnął, a przebudził się aż nad ranem. Sen i silna natura pomogły do odzyskania sił do tego stopnia, że nazajutrz mógł już wstać — i chociaż jeszcze nogi drzały, przejść się parę kroków.

Osłabiony, chwiejący wyszedł na podwórze swego mieszkania. — Tu wzniósł oczy do nieba; orzeźwiające powietrze miłe swem ciepłem — wschodzące słońce przedzierając się przez drzewa — wesoły świergot ptastwa, majestatyczna cisza natury do koła, cudny stanowiły widok dla oka Robinsona; wprawiła go w stan jakiejś błogości zachwycenia, jakby się nowo na świat urodził. Padł na kolana i po krótkiej lecz z serca płynącej modlitwie, niby witając po długiem niewidzeniu tę piękną naturę — zwracał oczy to w niebo, które tak było cudne — to na drzewa, których liście słońcem posrebrzane z namiętnością całował, to znów obejmował rękami szczęśliwe szczęściem pana swego lamy, radosnie w około niego pląsające — obawiał się zdeptać uperloną rosą trawkę; świergot ptaków niegdyś tak nieznośny, dziś wydał się najmilszym i najpiękniejszym śpiewem. — Słuchał wszystkiego, wszystko oglądał, chciałby wiecznie przetrwać w tej cudnej ułudzie, którą wszystkie nerwy grały — chciałby wszystką naturę wcisnąć do serca — to znów jakiś błogi niepokój opanował nim, aż w końcu łzy rzęsiste radości — łzy szczęścia połączone z wybuchem głosu mimowoli wydzierającego się z piersi — przyniosły mu nieco ulgi.

Świeże powietrze i to wrażenie doznane jakby cudem wzmocniło słabe siły, i orzeźwiło skołatany umysł. — Słaby już biega w około domu z taką szybkością, jak to niegdyś goniąc za motylami — z nową ochotą wziął się do uporządkowania swego gospodarstwa w czasie niemocy zaniedbanego.

Ale niezadługo ostygł w zapale, gdy ujrzał, że ogień, który z taką troskliwością utrzymywał — zagasł. Opanowała go smętna zaduma, bo rozpatrzywszy się dokładnie, znowu poznał swój stan nie do zazdrości. Ostrygi, mleko, kokosowe orzechy, surowe mięso, było jego jedynem pożywieniem — wprawdzie wystarczającem ja-

ko tako, ale zachodzi pytanie — czy on zawsze w każdej porze będzie to mógł mieć. Prócz tego truł go najwięcej brak sposobu polepszenia swego bytu. Cóż on teraz może jeszcze przedsięwziąść? wszystko co tylko mógł zrobić swemi jedynie rękami, już uskutecznił. Nic więc mu już nie pozostawało, tylko skazać się na ciągłą bezczynność i nudy — co dla niego było zabijającem –- nic nie robiąc, przymuszony był myśleć — a myśleć o czemś nie będąc w stanie wykonać tej myśli, rozważ sam czytelniku, do jakich mąk piekielnych taki stan prowadzi. — U ludzi słabego charakteru podobny stan wyradza utratę nadziei, melancholię — i w końcu samobójstwo. Na szczęście Robinsona nie można policzyć do rzędu takich, jednakże i on nie był wolnym od tantalowych męczarni; tem bardziej on, który tak nawykł do pracy, zajęcia jakiekolwiekby ono było — że zdawało się z brakiem zajęcia, życie utraci. Znał się dobrze co do tego, dla tego też ustawicznie myślał, już nie o odległem urojonem szczęściu — ale o tem, aby znośnie żyć dotąd, dopóki jakiś traf szczególny nie wytknie innej drogi działania. Dla tego gwałtem szukał pracy, bo przy niej zapominał o swem położeniu, a owoc jej rodził zadowolenie.

Już od dawna myślał nad tem — czyby nie można jakim cudem zrobić łódkę; a nowe zmartwienie pochodzące ze zgaszenia ognia, jeszcze więcej podniecało w nim pragnienie opuszczenia tej samotni i dostania się między ludzi. — Przyszedł do tego przekonania, że stały ląd Ameryki nie daleko musi być oddalonym od wyspy, na której się znajdował, i że żadne niebezpieczeństwo nie zachodziło, mając jaką chociażby małą łódkę w uskutecznieniu tego namysłu.

Cały zajęty tą myślą, wyszedł pewnego dnia wyszukać odpowiednie drzewo. Niedługo szukając natrafił na drzewo kokosowe, które nadspodziewanie było już nieco wgłębione — i które jak najlepiej posłużyło do wyżłobienia łódki.

Ale nie wiedział sam co z tem zrobić. Mógł bowiem tak przydatne drzewo łatwo zepsuć, nie mając narzędzi do tego a czy wtedy znajdzie się drugie? trzebaby było pożegnać się z łódką a na samą tę myśl dreszcz przechodził po ciele. Tak rozważając i kombinując — naznaczywszy miejsce, w którem znajdowało się wspomnione drzewo, wracał zwolna zamyślony do domu.

Z powrotem mimowoli znalazł to — czego od dawna już pragnął mieć.

Było to gniazdo papugi z młodemi, które jeszcze fruwać dobrze nie umiały. O jakaż była jego radość z tego wynalazku! — drżącemi rękami, ostrożnie zbliżył się do gniazda, ale czujne papugi frunęły, zostawiwszy jedną, którą udało się szczęśliwie Robinsonowi złapać.

Wiedział on, że ptaki te łatwo naśladują mowę — nauczywszy więc swoją papugę chociaż kilkunastu wyrazów, będzie miał przyjemność słyszenia ludzką mowę, czego tak dawno pragnął. Miałby więc już z kim porozmawiać. -– Z całą ostrożnością przyniósł swój skarb do domu, zrobił jak mógł klatkę, a wpuściwszy do niej swoją nową towarzyszkę — uszczęśliwiony położył się spać.

X.

Podczas gdy Robinson myślał nad tem, jakby to z wynalezionego drzewa łódź zprokurować, i uzbrajał się w cały zapas pilności i cierpliwości; wpadł na to przekonanie, że bądź co bądź zawsze go to zajęcie rozerwie, i ten smutek który go ustawicznie trapił rozpędzi. — Z niewypowiedzianą ochotą porwał więc za kamienną swą siekierę i pobiegł do drzewa. — Ale przypatrzywszy się bliżej, ochłonął znów z zapału, — ogrom pracy przy braku narzędzi, zdawał się być tylko urojonem marzeniem, ten trudny zamiar Robinsona. Tysiące innych na jego miejscu, porzuciłoby tę ogromną pracę, tracąc nadzieję wykonania swego. — Ale na to trzeba było być Robinsonem, trzeba było być w takiem upragnieniu jak on wydobycia się z zabijających samotni, — on radby połowę życia oddać, a może i całe za jedną chwilę widzenia się z swoimi, — nic więc dziwnego, że zabrał się do rąbania i ciupał a ciupał swą improwizowaną siekierką z rezygnacyą i postanowieniem nieporzucenia tej roboty, póki nie skończy, choćby to miało trwać i całe życie.

Pracował od wschodu słońca do południa i wyrobił dziurę w pniu drzewa nawet nie takiej obszerności, aby w nią mógł wsadzić swą dłoń z ręki. — Z tego można miarkować jak długiego czasu i jakiego trudu potrzeba było,

aby całe drzewo tak grube obciesać i wyżłobić przynajmniej tak, aby mogło było być użyte na kształt łódki. — Widząc przeto że tę pracę na lata liczyć trzeba, uznał za konieczne podzielić dzień, i porządkiem w każdej godzinie naznaczyć rodzaj zajęcia, gdyż doświadczeniem nauczony, wiedział, że przy życiu pracowitem człowieka, pilność nie tyle ma zasługi, co porządek i odpowiedni rozkład godzin; — i tak rano o świcie wstał Robinson i biegł do źródła, aby głowę, ręcę, piersi i nogi umyć; — a ponieważ nie miał ręcznika, musiał więc w powietrzu oschnąć, i ażeby to prędzej nastąpiło, w całym impecie wracał do domu; — tam ubierał się, następnie wychodził na wzgórek obok swej jaskini, zkąd najpiękniejszy do koła był widok, klękał i mówił modlitwę, niezapominając w niej nigdy o rodzicach; — później doił lamy, których miał już liczną trzodę, nazbierał im jak najlepszych roślin i trawy, a posiliwszy się, wszystko porzucał i szedł do miejsca gdzie stało drzewo, — lub też jeżeli był odpływ morza, szukać ostrygi na obiad. — Lamy zaś biegały i pasły się w koło niego pod ten czas gdy on zajęty był rąbaniem. — W godzinie południowej zajmował się kształceniem papugi, uczył ją wymawiać słowa i karmił kokosowemi orzechami, potem przez godzinę odpoczywał w chłodzie lub swej jaskini, otoczony jak jaki udzielny książe podwładnemi, tak on swemi lamami i papugą, rozmawiał, dawał rozkazy, — spoglądając na wyspę w której samodzielnie panował.

Czas ten poświęcał więcej dla zadowolnienia swej chęci obcowania z kim kolwiek, dla zapełnienia tej próżni w sercu, jaką samotność rodzi — z całem zamiłowaniem słuchał beczenie lam, niby odpowiedzi na jego rozmowę — a kiedy papuga wymówiła kilka przez niego wyuczonych wyrazów, radość jego nie miała granic — słyszał mowę ludzką — zapomniał o wszystkiem co go otaczało, i w złudzeniu, sądził że jest w Europie, pomiędzy swymi ziomkami. — To złudzenie jednak trwało tylko jedną chwilę — potoczył okiem smutmo do koła, a przekonawszy się o swej samotności z żalem wymawiał: O biedny Robinsonie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

O CUDACH NATURY.

Wiele jest między wami przesądów moi bracia, powstają one już to z przesadzonych opowiadań o rzeczach których nie rozumiecie, już to ze złej woli opowiadających, którzy waszej łatwowierności na złe potem używają, są jednakże wypadki na które patrzycie swojemi własnemi oczami, a nie mogąc ich sobie wytłumaczyć, przypisujecie je działaniu czarów. Przesąd ten tak jest upowszechniony między wami, jakbyście byli ludem pogańskim, który nie zna jak to jest potężny Bóg i że wszystkie moce przed Nim nic nie znaczą, — a On tylko jeden jest Czarnoksiężnikiem, który wszystko może co chce.

Strach pomyślić moi mili, co się to dawniej działo, wtenczas i panowie jeszcze i księża byli mało rozumniejsi od was, ileż to więc biednych ludzi niesprawiedliwie stracono, obwinionych — o czary — pomyślcie no tylko co to były za czasy, kiedy waszą starą matkę, krewną albo znajomą, ktoś obwinił, że jest czarownicą — porywano ją więc, bo mówiono, że ona sprowadza posusze, albo burze, odbiera krowom mleko, albo narzuca choroby i jakichże sposobów używano dla przekonania się, pławiono nieszczęśliwe, wieszano i pieczono na ogniu, z bólu biedna ofiara, przyznawała się do wszystkiego co

w nią wmawiano, z bólu traciła przytomność i Bóg wie co wygadywała. Nieraz także ten los spotykał osoby z obłąkanemi zmysłami, wmawiano w nie, że mają w sobie czarta i prześladowano je. — Były zaś nieraz i wypadki, że zręczne oszusty, wziąwszy na siebie postać czarownic, i nauczywszy się jakich sztuk, tak lud umiały mamić na swoją korzyść, że nietylko im wierzono i radzono ich się, ale bez ich porady nic nie przedsiębrano. — Otóż moi ludzie, gdybyście mieli więcej nauki, tobyście sobie łatwo wszystko wytłumaczyli — przedsięwziąłem więc tutaj pokazać wam i wytłumaczyć rozmaite wypadki, które mogą w błąd wprowadzić człowieka ciemnego, a które dla uczonego są bardzo zrozumiałe.

Cobyście np. na to powiedzieli, żeby stojąc na dworze zdaleka od wszelkich zabudowań, w jasny dzień letni, kiedy słońce świeci, ni z tego ni z owego zobaczyli, że wam się czapka pali na głowie, chociaż nigdzie nie ma ani iskierki ognia, albo że wóz wasz, którym przyjechaliście po zboże, cały w płomieniach; lub co jeszcze dziwniejsze, gdybyście mieli przy sobie bryłę ołowiu, srebra lub miedzi, i raptem zobaczyli że ta w waszych oczach rozgrzewa się do czerwoności, i wreszcie topi się a wy stoicie obok niej o parę kroków, i nietylko nie czujecie większego gorąca, ale nigdzie nie widzicie ognia, tylko na boku pod krzakiem o jakie 50 kroków od was, a może i dalej o 100, stoi jakiś człowiek, i trzyma w ręku jakieś szkło, albo tabliczki, i z was się śmieje. — Ani chybi żebyście się przeżegnali, i pomyśleli sobie, że to albo djabeł, albo czarownik co takie rzeczy wyrabia, i drapnęli co sił do domu i innym ten cud opowiedzieli, a jednakże wypadek taki być może bez ognia, można palić nietylko drzewo, ale i topić metale, a to za pomocą szkła wypukłego, podobnego do przekrajanej połówki jabłka albo kartofla wystawionego na działanie słońca, którego wszystkie promienie grzejące w nim się zbierają w jednem miejscu i odbijając się od przedmiotu na który są wymierzone, tak go rozgrzewają, że zapala się, są także takie zwierciadła wklęsłe najczęściej z jakiego metalu, za pomocą których można zapalić w znacznej odległości drzewo bo o 250 lub więcej nawet kroków, roztopić zaś można ołów o 50 kroków. — Otóż nauka wam to wytłómaczyła co raczej uważalibyście za czartowskie sprawy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA
STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Lee spostrzegł 24 godz. za późno, że McClellan się cofa, lecz pomimo tego wysłał za nim silny oddział, który uderzył na jego tylną straż pod Savage Station w dniu 29 czerwca, lecz poniósł porażkę. Kilka innych potyczek stoczono jeszcze, nim armia Potomac'u zdołała rozłożyć się obozem. I tak w bitwie pod Glendale został przez południowców wzięty w niewolę jen. Call a jen. Meade ciężko raniony. Bitwa wypadła jednakowoż na korzyść armii północnej. Dopiero w dniu 1 lipca znajdowały się znów pojedyńcze korpusy tej armii złączone.

Jen. Lee zgromadziwszy swe siły, uderzył jeszcze w tym samym dniu na obóz McClellana, który właśnie sam nie był obecnym, gdyż był wyjechał wybrać lepsze stanowisko. Bitwa trwała aż

do 9tej godziny w nocy. Konfederaci zostali porażeni z wielkiemi stratami. Jenerałowie McClellana spodziewali się skorzystać z tego zwycięztwa, ścigając rozproszone kolumny nieprzyjacielskie i w 4 godzinach zająć Richmond, gdy odebrali rozkaz od głównodowodzącego, aby cała armia się cofnęła do Harrison's Landing. Rozkaz został wypełniony, lecz oficerowie jako i cały naród okazywał jawnie swe niezadowolenie z takiego postępowania. Prezydent widząc, że Konfederaci zagrażają Washingtonowi z innej strony, przesłał Mc Clellanowi rozkaz aby się cofnął i zajął stanowisko w pobliżu stolicy, lecz tenże starał się zniweczyć ten plan.

Po odwrocie McClellana do Harrison's Landing naradzili się spiskowcy, w jakiby sposób można zająć stolicę, a gdy jen. Halleck, wtenczas głównodowodzący całą armią Stanów Zjednoczonych, nadesłał McClellanowi rozkaz połączenia się z armią Popego aby bronić stolicy, postanowił Lee, wódz Konfederatów, zapobiedz temu połączeniu i dla tego począł postępować naprzód. Przeciwko niemu dążył jen. Pope. Część jego armii spotkała się z częścią armii nieprzyjacielskiej dowodzoną przez Jacksona pod Cedar Mountain, gdzie zawrzała jedna z najstraszniejszych bitew w tej wojnie. Walczono oko w oko a dym był tak gęsty, że zaćmił światło księżyca. Żadna strona nie odniosła zwycięztwa, z każdej padło po 2000 ludzi (9 sierpnia). Tymczasem otrzymał Jackson posiłki, a Pope po kilku potyczkach wciąż party przez południowców, cofnął się po za rzękę Rappahannock. Tu spodziewając się, że McClellan przybędzie mu na pomoc z wojskiem, które przez cały miesiąc odpoczywało, ściągnął swoje oddziały, do których przybyły trzy inne od armii McClellana. W dniu 25 sierpnia miał 60,000 żołnierza oczekującego nieprzyjaciela. Jen. Jackson tymczasem okrążył go i wieczorem 26 t. m. stanął pomiędzy jego armią i stolicą.

Obie armie znajdowały się więc w krytycznem położeniu. Pope usiłował wziąść w niewolę całą armię Jacksona, lub przynajmniej zapobiedz złączeniu się jego z jen. Longstreet. Nie zdołał tego uczynić; Longstreet dowodzący przednią strażą Lee'a, złączył się w dniu 29 sierpnia z Jacksonem pod Groveton i tu stoczono bitwę. Walka nie została roztrzygniętą — po każdej stronie padło po 7000 ludzi. Pope byłby dobrze zrobił, gdyby się był cofnął; nie uczynił tego, gdyż się spodziewał posiłków od McClellana. Ten nie przybył i Pope musiał nazajutrz stoczyć nową walkę pod Bull Run, w której doznał porażki. Pod Centreville przyłączyły się do niego korpusy Franklin'a i Sumner'a. Lee wysłał przeciwko nim jen. Jackson i Ewell. Spotkanie się dwóch armii wywołało bitwę pod Chantilly (2 września), w której Pope wprawdzie został zwycięzcą, lecz w kilka dni potem widział się zmuszonym cofnąć się po za okopy otaczające Washington.

Prezydent był zmuszony zwołać więcej wolontaryuszów. Lud widząc że wielka istnieje potrzeba, garnął się licznie pod sztandary, co widząc spiskowcy postanowili wtargnąć do Maryland i okrążyć Washington. McClellan do którego armii się przyłączyły resztki armii Popego, przeczuwał plan Lee'a i poszedł za nim. Część wojska jego pod jenerałem Burnside spotkała się w w dniu 14 września z częścią armii Lee'a pod South Mountain. Walka trwała aż do nocy. Korpus Burnside'a był gotowy podjąć walkę na nowo nazajutrz, lecz południowcy cofnęli się w nocy aż do miasteczka Charpsburg nad rzeczką Antietam.

Cios srogi napotkał przyjaciół wolności w dniu 14 września w Harper's Ferry, gdzie pułkownik Miles się poddał Jacksonowi: 11,583 żołnierzy, rekrutów po większej części, 73 armaty, 13,000 strzelb, 200 wozów i dużo zapasów wpadło w ręce nieprzyjacielskie.

W dniu 17 września z rana rozpoczęła się bitwa pod Antietam, która trwała 14 godzin. Zwycięztwo przechylało się na stronę McClellana, lecz ten nie umiał nazajutrz z niego skorzystać. Gdy w 36 godzin potem zdecydował się znów uderzyć na Lee'a, ten znajdował się już na wirgińskiej stronie Potomac'u po za silnemi bateryami. McClellan zajął wprawdzie znów Harper's Ferry, lecz prezydent i lud utracił w nim całą ufność. W dniu 5 listopada odebrał mu prezydent naczelnictwo i zamianował jen. Burnside jego następcą.

Ten zreorganizował armię i wystąpił znów na pole walki. W dniu 13 grudnia spotkał się z armią Lee'a pod Fredericksburgiem i został pobity. Lee zajął Fredericksburg. Burnside poszedł na leże zimowe nad rzekę Rapahannock. W dniu 26 stycznia objął naczelne dowództwo nad jego armią jen. Józef Hooker.

Zobaczmy co się tymczasem w innych stanach działo. Wiadomo, że ujście rzeki Mississippi aż do New Orleans było zajęte przez wojska północne pod Butlerem i Farragutem (dowódzcą floty); rzeka ta znajdowała się od St. Louis aż do Memphis także w rękach wojsk północnych. Alabama północna, Mississippi (stan) i południowy Tennessee był także przez nich obsadzony. Armia południowców wygnana z Corinthu stała pod Tupelo. Morgan dowódzca guerilasów niszczył Kentucky, Forest uwijał się w Tennessee a Bragg szedł z Tennessee ku granicy stanu Kentucky. Jemu na przeciw szedł jen. Buell.

Kirby Smith, jen. południowców pobił oddział jen. Manson w pobliżu Richmond, gdzie jen. Nelson objął dowództwo i kierował się ku Lexingtonowi, które też zajął. Następnie szedł

do Cincinnati, lecz dowiedziawszy się o tam stojącym korpusie jenerała Lewis Wallace, wrócił się i zajął Frankfort, gdzie czekał na przybycie Bragga, aby wraz z nim uderzyć na Louisville. W dniu 14 września pobił pułkownik Wilder oddział zdrajcy Bucknera pod Mounfordsville, lecz w dniu 16 był zmuszony poddać się jenerałowi Polk. Tymczasem nadciągnął jen. Buell, który Konfederatom w dniu 8 października taką zadał porażkę, że ci w największym pospiechu wynieśli się do Tennessee. Buel podobny z charakteru do jen. McClellana, nie umiał skorzystać ze zwycięztwa, dla tego odebrał mu rząd dowództwo i zamianował na jego miejsce jenerała Rosecranz a armii tegoż nadał nazwę „armia Cumberlandu." Rosecranz, będąc jeszcze naczelnikiem armii w Mississippi, odniósł zwycięztwo nad Price'm w Jake Springs a następnie pobił jenerała Van Dorn'a, który się złączył z Pricem pod Corinth, gdzie włącznie z wziętymi w niewolę Konfederaci utracili 9000 ludzi. Po porażce tej zapanował niejakiś czas spokój w departamencie, którego naczelnikiem był teraz jen. Grant.

Tymczasem zaszły inne ważne sceny bardziej na południe nad rzeką Mississippi. Miasto Vicksburg było mocno ufortyfikowane. Forteca ta jako i warownia w Port Hudson tworzyły jedyne, lecz nadzwyczaj silne przeszkody wolnej żeglugi na rzece Mississippi, do których usunięcia wciąż dążono. W tym celu udał się jen. Curtis ku miasteczku Helena, a z południa przybliżali się Butler i Farragut. Ten ostatni atakował w dniu 26 czerwca Vicksburg, lecz nadaremnie, oblężenie tego miasta nie udało mu się także. W dniu 5 sierpnia ponieśli Konfederaci porażkę pod Baton Rouge, zostali także pobici pod Labadisville przez co cały powiat La Fourche się dostał w ręce jenerała Weitel. W miejsceButlera został zamianowany naczelnikiem departamentu zatoki meksykańskiej jen. Banks.

W Missouri i Arkansas wydarzyły się w tym samym czasie także znaczne wypadki. W Missouri stoczono pod naczelnym dowództwem jen. Schofield od kwietnia do września nie mniej jak 100 bitew i potyczek. Oddziały powstańców idące swym braciom na pomoc z Arkansas, zostały odparte i utworzyły następnie jędro armii liczącej 40,000 ludzi, którymi dowodził Hindman. W kilku późniejszych potyczkach została armia ta rozproszona. Schofield polecił dla słabości zdrowia dowództwo jenerałowi Blunt.

Hindman zgromadził na końcu listopada znów 20,000 ludzi i wkroczył do Missouri. Blunt pobił przednią straż jego w dniu 26 listopada pod Boston Mountains, i powtórnie całą armię pod Prairie Grove.

W Texas zdobyli Uniści w tym samym czasie miasto Galveston.

Lecz wróćmy do stanu Mississippi. Grant stał z główną siłą w okolicy Holly Springs, gdzie na przeciw jego stanął Van Dorn,— Rosecranz, następca Buell'a, zaś ciągnął na południe od Nashville przeciwko Bragg'owi, który stał w Murfreesboro. W pobliżu tego miasta zawrzała walka. w dniu 31 grudnia 1862. Zwycięztwo chyliło się raz na tę, drugi raz na ową stronę. Noc zakończyła bitwę. Dzień Nowego Roku 1863 przeszedł na mniejszych potyczkach, lecz w dniu 2go rozpoczęła się walka znów w całej swej zaciętości. Po obu stronach padali ludzie jak muchy. Wspólny atak siedmiu półków związkowych rozstrzygł bitwę. Konfederaci utracili w przeciągu 20 minut 2000 ludzi i rozproszyli się. Bragg cofnął się do Tallahoma a Rosecranz zajął Murfreesboro. W tych pozycyach pozostali przez kilka miesięcy.

W dniu 1 stycznia wydał prezydent Lincoln proklamacyę, wracającą wolność 3,000,000 niewolników. Emancypacya niewolników wywołała zadowolenie u wszystkich przyjaciół wolności tak w Europie, jak i Ameryce, lecz tem większe rozjątrzenia pomiędzy zwolennikami systemu niewolniczego. Kongres południowców (rząd ich został zamieniony na stały i Jefferson Davis obrany prezydentem na lat 6 w dniu 22 lutego 1862) postanowił prowadzić wojnę dalej i wprawdzie na lądzie i morzu. Jeden z ich okrętów „Alabama", zbudowany, uzbrojony i zaopatrzony we wszystko co potrzebne w Anglii, spalił w przeciągu 3 miesięcy w r. 1862 28 kupieckich okrętów obywateli stanów północnych.

Z końcem 1862 r. wrzała wojna domowa we wszystkich stanach południowych, lecz najgłówniejsze operacye odbywały się w okolicy Vicksburga i jen. Sherman usiłował już zająć to miejsce, lecz został pobity pod Chickasaw Bayou, wskutek czego utracił dowództwo, które objął McClernand. Tymczasem przybył jen. Grant i począł układać plany, jakimby sposobem można obledz to miasto. Za jego radą postanowił dowódzca floty przepłynąć pod armatami twierdzy na drugą jej stronę, co też uskutecznił. Grant zaś rozpoczął operacye na rzece Big Black River na stronie północno-zachodniej. Musimy na chwilę zwrócić się do okręgu wojskowego nad zatoką meksykańską. Wodzem był tam Banks, następca Butlera, który miał pomagać Grantowi przy oblężeniu Vicksburga i zarazem zająć Louisianę i Texas. Związkowi posiadali już Galveston, lecz w dniu 1 stycznia 1863 zostało wojsko ich pobite przez Konfederatów, wskutek czego to miasto wpadło znów w ręce tychże. Od stycznia aż do maja zajęły wojska pod jen. Banks całą część Lou-

isiany, leżącą na zachód rzeki Mississippi, następnie oblężono i zablokowano Port Hudson, twierdzę bardzo ważną dla strategicznego położenia.

Granta pozostawiliśmy zajętego przygotowaniami do zajęcia Vicksburga. Dowiedziawszy się, że główna armia Konfederatów pod Pembertonem przybliża się także ku Vicksburgowi, postanowił działać energicznie, dla tego przeszedł ze swą armią przez rzekę i odniósł zwycięztwo pod Port Gibson (1 maja). Sherman który daremnie usiłował zająć Haines Bluffs, dostał rozkaz połączenia się z armią główną. W dniu 8 maja nastąpiło połączenie, poczem cała armia udała się w drogę ku Jackson, stolicy stanu Mississippi, gdzie jen. Johnston Konfederatami dowodził. W dwóch bitwach pod Raymond w dniu 12 i pod Jackson 14 maja, zostali południowcy pobici i miasto zajęte, poczem zwycięzcy się zwrócili ku Vicksburgowi i zadali powstańcom pod jen. Pemberton straszliwą klęskę w dniu 16 maja. Zwycięztwo odnieśli także przy przeprawie przez Big Black River (17 maja). Grant przeprawił się przez rzekę i obległ miasto. Dwa szturmy do miasta nie udały się i Grant widział się zmuszonym rozpocząć regularne oblężenie, które trwało aż do pierwszego tygodnia w lipcu. Pemberton nie mogąc się doczekać odsieczy, z powodu głodu i nędzy tak w mieście jak i obozie panującej, poddał się w dniu 4 lipca. Armia Granta zabrała miasto i 27,000 jeńców. W kilka dni potem poddał także jen. Gardner twierdzę Port Hudson. Tak po dwóch latach przestanku było można znów bezpiecznie płynąć po rzece Mississippi.

ROZDZIAŁ XV.

Wojna domowa (1861—1865.)

Armię Potomac'u zostawiliśmy po bitwie nieszczęsnej pod Fredericksburgiem pod rozkazami jen. Józefa Hooker. Ten zreorganizował wojsko nasamprzód a w końcu kwietnia stał na czele dobrej 100,000 armii. I jen. Lee zreorganizował armię południową i posiadał na końcu kwietnia przeszło 60,000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy. Od stycznia aż do końca kwietnia nie zaszły żadne ważne ruchy wojskowe. Hooker wysłał nasamprzód 10,000 konnicy, która miała się zgromadzić w Chancellorsville i zająć Lee'owi tył i zamaskował ruch ten tak doskonale, że Lee dopiero się o tem dowiedział, gdy korpus przez Hookera wysłany już do Chancellorsville się przybliżał. Zamiast ubiedz do Richmondu na co Hooker liczył, postanowił Lee zmusić część armii związkowej do bitwy w okolicy dzikiej zarosłej małemi drzewkami, krzakami, pełnej bagien i parowów a dla tego Wilderness (dziczyzną) nazwaną. W dniu 1 maja po północy wysłał Lee dywizyę Jacksona do Chancellorsville, do niej przyłączyły się jeszcze inne oddziały, które w dwóch kolumnach szły przeciw związkowcom. Hooker wysłał naprzeciw korpus jedenasty, część piątego i dwunasty na rezerwę (Hooker dał każdemu korpusowi liczbę). W bitwie, która nastąpiła, ie udało się Lee'owi przeciąć komunikacyę oddziałów Hookera, lecz związkowcy byli jednak zmuszeni cofnąć się po za okopy pod Chancellorsville.

Obie armie znajdowały się w krytycznem położeniu. Hooker postanowił nie ruszać się, Lee za radą Jacksona zaś postanowił uderzyć na wojsko północne. Jackson uderzył w 25,000 powstańców na korpus jen. Sickles i rozbił tenże, lecz sam utracił życie. Walka rozpoczęła się na całej linii i trwała aż do nocy, nad ranem rozpoczęła się na nowo. Jen. Stuart uderzył na nowy oddział jenerała Sickles, Lee zaś atakował lewe skrzydło i środek armii Hookera. Po długiej krwawej walce, musiało się wojsko Hookera cofnąć i zajęło obronne stanowisko po za Chancellorsville. Armia Hookera była więc podzieloną, a południowcy pozostali w łączności.

Sedgwick, który dążył Hookerowi na pomoc, nie zdołał tego uczynić. Odebrawszy rozkaz przybycia naczelnikowi na pomoc, zajął Fredericksburg, wypędził jenerała Early z obronnego miejsca na wzgórzu i szedł z całą swą siłą ku Chancellorsville. Pod Salem Church spotkał znów nieprzyjaciela i utracił 5000 ludzi, poczem aby resztę swego korpusu ocalić, cofnął się po za rzekę Rappahannock. I Hooker uczynił to samo. W bitwie tej utracił Hooker 17,197 ludzi włącznie 5000 zabranych w niewolę, 13 armat, 20,000 strzelb i 17 chorągwi, nieprzyjaciel utracił 15,000 ludzi włącznie 5000 jeńców, 15 chorągwi i 7 armat.

Tak nazwany rząd stanów południowych polecił jenerałowi Lee, aby znów wpadł do Maryland i Pensylvanii, co tenże też uczynił. Lewe swe skrzydło pod jen. Ewell wysłał do doliny Shenandoah, gdzie tenże dotarłszy aż do Winchester, zniósł korpus jenerała Milny, liczącego 7000 ludzi. Lee zdołał ukryć prawdziwy swój zamiar póty, dopókąd Ewell w dniu 22 i 23 czerwca nie przeprawił się przez rzekę Potomac i wkroczył do Cumberland doliny. W kilka dni potem poszli za nim Longstreet i Hill a w dniu 25 czerwca znajdowała się cała armia Lee'a w Maryland i Pennsylvanii.

(Dalszy ciąg nastąpi.)